# Bieszczadzkie scenki 1996*

Stefan Sokołowski

16 sierpnia 1996

Jeśli przez lata nie widziałeś pięknej i drogiej kobiety, to raczej nie licz na to, że nadal jest piękna i nadal Ci wierna. Tak samo jest z górami. Przez lata zaniedbywałem moje drogie dzikie Bieszczady. W tym roku okazało się, że nie są już ani dzikie, ani drogie, ani moje. Poniżej kilka scenek z życia wyjaśniających dlaczego.

## **Scenka 1:** Pusty szlak

Gość sprzedający bilety do parku narodowego odradza wycieczkę:

> — Zamarzniecie. Dzisiaj w Ustrzykach skrobali szyby samochodowe ze szronu, to co dopiero tam w górze. Siedemdziesiątkę już łapię za nogi a takiego mrozu w lipcu nie widziałem.

Facet łapie siedemdziesiątkę a jeszcze nie wie, że w lecie mroźna noc zwiastuje śliczny i upalny dzień.

Okazuje się, że przed nami sprzedał jak dotąd 14 biletów. Jak to? Środek lipca 1996, godzina dziesiąta rano, śliczna pogoda, a na głównej bieszczadzkiej ceprostradzie Ustrzyki Górne — Szeroki Wierch — Tarnica takie pustki? Niewiarygodne.

Pierwszą parę spotykamy przy strumyku na śniadanku. Następna trójka prosi o zrobienie sobie zdjęcia na tle tablicy *Bieszczadzki Park Narodowy.* Zostaje przed nami dziewięć osób. Z Wołosatego nie dojdzie wiele, bo kto by tam dymał z Ustrzyk po szosie. Ci z Bukowego Berda nas nie wyprzedzą. A więc możemy mieć przez chwilę całe najpiękniejsze połoniny tylko dla siebie. Przyspieszamy, chociaż obiecywaliśmy sobie nie ścigać się na szlakach.

Na podejściu pod Szeroki Wierch mamy przed sobą jeszcze cztery osoby. I wtedy wyłania się szczyt Tarnicy oblepiony ludzkim mrowiem oraz rzeka ludzi płynąca pod górę z Wołosatego.

Gość sprzedający bilety nie ma pojęcia o pogodzie, a ja nie znam się na bieszczadzkich turystach. Ciągle myślę o nich jak o sprawnych trampach używających w górach nóg. Takich ujawniło się tego dnia czternaście sztuk plus nas dwoje. Reszta to sprawni inaczej, którzy z Ustrzyk do Wołosatego dojechali własnym samochodem. Obecnie główna bieszczadzka ceprostrada wiedzie z Wołosatego.

Od dzisiaj zacznę studiować rozmieszczenie parkingów w górach.

## Scenka 2: Co nosić w Bieszczadach

Na szczycie Tarnicy rozsiadła się duża grupa dzieci. Dziewczynka wyjmuje telefon komórkowy i wystukuje numer.

— Mamo? To ja. Dzwonię z Tarnicy. Nie, nie z Krynicy, tylko z Tarnicy, to taka góra. Świeci słońce. Czy mogę zdjąć sweterek? Sylwia już zdjęła.

Myślę, że dla mamy Bieszczady są krajem dzikim i niebezpiecznym. Sweterek jest ostatnim skrawkiem cywilizacji chroniącym pociechę przed Groźnym i zapewne Zimnym. Ta mała nie ma szansy.

— A pan mówił, że w Bieszczadach nie można chodzić w sweterku tylko w polarze. Takie kolorowe, bardzo odlotowe. Mama Sylwii kupi jej polar. To jak, mogę zdjąć?

Nie doceniłem dziecka.

## Scenka 3: Łańcuch pokarmowy

Dawniej, gdy tramp spotykał trampa, opowiadali sobie, co któremu się przydarzyło. Bieszczady to mokre góry, więc najczęściej obu przydarzyła się ulewa. Opowieści były o tym, co komu zmokło, jak próbował to wysuszyć i dlaczego mu się nie udało. W lecie 1996 trampy opowiadają sobie o tym, co komu zjadły myszy.

Całe jedzenie pakuję do twardych plastykowych pudełek, pudełka do worka, worek do plecaka z Cordury, plecak do namiotu. Mała zalepia plastrem dziury w podłodze wygryzione poprzedniej nocy, następnie spirytusem salicylowym ochlapuje krąg dookoła namiotu a poza kręgiem umieszcza trochę makaronu na ofiarę. Staram się być ponad to:

— Zamiast spirytusu użyj święconej wody, ha, ha!

Następnego ranka mamy świeżą dziurę w namiocie. Ślad wyszarpany na plecaku świadczy o tym, że myszy usiłowały zjeść Cordurę. Ale znalazły sobie łatwiejszą drogę przez dolną kieszeń. Z plastykowego kubeczka zostały strzępy. Na pudełkach wyraźne wygryzienia, jedno trzeba wyrzucić. O dziwo, chrupkie pieczywo jest nienaruszone (a nam smakowało...). Z rzeczy poza plecakiem została zjedzona świeczka i nadgryziona plastykowa buteleczka z szamponem do włosów; wszystko pływa w szamponie.

Grzybiarz z Myczkowa uważa, że przyczyną jest jakaś zaraza wśród lisów:

— Teść widział jednego całkiem łysego. To i zające się rozmnożą.

Leśniczy w Widełkach mówi, że to przez nienaturalnie wysoki urodzaj orzeszków bukowych w zeszłym roku:

— Zawsze zaczyna się od roślin, od dołu łańcucha pokarmowego. Albo na myszy przyjdzie jakaś choroba, albo w przyszłym roku rozmnożą się nadmiernie ptaki drapieżne i węże. Natura to sobie zawsze jakoś ureguluje.

Mała nie pojedzie w przyszłym roku w Bieszczady, bo węży boi się jeszcze bardziej niż myszy.

A ja nie rozumiem, dlaczego myszy są tak agresywne na oficjalnych polach namiotowych a nigdy nam nic nie zżarły na dzikich biwakach daleko od ludzi.

## Scenka 4:
## Pozdrowienie

— Cześć.
— Cześć.
— Dzień dobry.
— Cześć.

Po zmęczonej Połoninie Wetlińskiej w słonecznym skwarze wloką się w obu kierunkach długie karawany.

— Dzień dobry.
— Dzień dobry.
— Cześć.

Sympatyczny zwyczaj pozdrawiania się ludzi w górach przeradza się w katorgę. Z przeciwka nadciąga następne dwadzieścia osób. Z trudem poruszam obolałym językiem.

— Cześć. Dzień dobry. Cześć. Cześć.

Mała buntuje się pierwsza:

— W Sopocie na Monciaku nie witam się ze wszystkimi, to tutaj też nie będę.

Przechodzimy bez słowa obok rodziny, która właśnie zabiera się do konsumpcji kanapek z jajkiem, czipsów i ciepłej wody mineralnej z plastykowej butli.

— Tato, a dlaczego ten pan nie powiedział „Cześć”?
— Są różni ludzie, synku…

## Scenka 5:
## Trudne warunki

Już w Berehach wiatr utrudniał nam ugotowanie wody na herbatę. Z leśnych polanek na podejściu patrzyliśmy na typowe bieszczadzkie zwierzęta — spalinowe święte krowy — łażące po obwodnicy, ale wicher zagłuszał ich ryk. Nagle lunęło. Twarda ścieżka momentalnie zamieniła się w grząską gliniastą ślizgawkę, po której z przerażeniem w oczach zjeżdżały na pepegach ciężarne staruszki rozmaitego wieku i płci.

Teraz wiatr usiłuje zrzucić nas z Połoniny Caryńskiej i otula chmurami jej grzbiet. Tracimy z oczu i tych, za którymi idziemy, i tych, którzy nas gonią. Jak miło! Mała coś do mnie krzyczy — widzę jej rozradowaną twarz ale nie słyszę słów, bo kaptur wściekle trzepocze mi koło ucha. Zrzucam go do tyłu i na głowę lecą mi litry ulewy. Okazuje się, że Mała śpiewa sobie na całe gardło:

— Hej, górol jo se, górol
od samiutkich Tater…

Proponuję jej słowa bardziej stosowne do sytuacji:

— Hej, Bojko ja se, Bojko
z zielonych połonin,
jak myszy mnie nie zjedzą,
wiatr mnie nie dogoni!

Nareszcie jesteśmy w górach.

## Scenka 6:
## Nowi ludzie

— Czy pomoże mi pan odkręcić butlę gazową, bo się zacięła?

Dwie dziewczyny, na oko po dwadzieścia lat każda, rok w rok przyjeżdżają na to samo pole namiotowe w Cisnej. Jedna jest tu po raz trzeci, druga po raz czwarty. Dotąd nie weszły na żadną górę.

— To po co przyjeżdżacie w Bieszczady?
— Bo jest fajnie, spotyka się nowych ludzi…
— Ale mogłybyście ich też spotkać w Wólce Kowalowej gdziekolwiek w Polsce.

Zgadzają się łatwo.

— Gdyby ktoś nas wziął w góry, to może wtedy… Ale same nie możemy się zebrać.

Przezornie nie proponuję się na przewodnika. Zresztą do Cisnej zszedłem tylko po to, żeby zatelefonować do Gdańska i naprawić pasek od plecaka.

Po chwili widzę je w wesołej rozmowie z grupą młodych Słowaków. Potem Słowacy znikają, bo udają się na Kremenaros, a dziewczyny zostają na pólku.

— Mój wujek zna całe Bieszczady jeszcze z czasów studenckich. Może nas tu odwiedzi i weźmie w góry. Póki co idziemy do Siekierezady na piwo.

Poszły. Nie ma ich już trzy godziny. Może spotkały nowych ludzi? Jutro też pójdą i kogoś spotkają… Jeśli wujek ma w sobie dawnego bieszczadzkiego feblika, to się tu nie zjawi.

A nad polem namiotowym góruje Łopiennik. Nie trzeba być tam „wziętym". To tylko dwa kilometry szosą (można podjechać stopem), dwie godziny w górę uczęszczaną ceprostradą i godzina na jagodach z widokiem na Jasła i pasmo graniczne. Jedna dziewczyna patrzy na Łopiennik już trzeci rok a druga czwarty. I nawet nie wiedzą, że ta góra tak się nazywa.

## Scenka 7:
## Wirtuoz kierownicy

W Wetlinie na PTTK-owskim campingu obowiązuje segregacja: namioty na trawie, samochody na betonowym parkingu. Mimo to na trawie przy samych namiotach stoją trzy samochody: Holender, Łodzianin i taki z rejestracją na „P". Ten z Łodzi stanął rurą wydechową prosto w nasz namiot. Obok przy stoliczku siedzi osiłek z wąsem i kobieta z rozpuszczonymi włosami; patrzą w trawę i palą papierosy.

Mała prosi mężczyznę, żeby odjechał na parking, bo tu są takie zasady. Mężczyzna odpowiada „Nie ma sprawy, odjadę" ale nie rusza się z miejsca. Dla inaczej sprawnego turysty spalinowego oderwanie pupy od fotela jest zbyt wielkim wysiłkiem, żeby dokonać go natychmiast. Interweniuje kierownik ośrodka. Holender przeprasza i zabiera samochód. Łodzianin dyskutuje przez chwilę, w końcu się poddaje. Ten na „P" się zapiera. Jest oburzony. Komu może szkodzić jego polonez? Jaką może być dla kogokolwiek uciążliwością? To wszystko brednie i on nie myśli się stosować. Nie można inaczej sprawnego oddzielać od jego protezy. Kierownik odchodzi nie dopełniwszy misji.

W Wetlinie po obwodnicy chodzą setki osób, na ogół szlakiem obóz–sklep–piwo. Między nimi przelatują samochody. Podziwiam zręczność kierowcy, który z prędkością co najmniej 70 km/godz. wpasowuje się w małą lukę między traktorem a czwórką młodych ludzi w tenisówkach i z wielkimi plecakami. Ponieważ poruszają się ku sobie, luka coraz bardziej maleje. Więc jeszcze bardziej podziwiam następnego kierowcę, który z tą samą prędkością wpasowuje się w tą samą lukę. Trzeci kierowca nie ma już szans. Przez szybę miga mi jego pełna wysiłku twarz, kiedy zmuszony jest przenieść swoją inaczej sprawną nogę z pedału gazu na hamulec.

To nasz znajomy z campingu, przyjechał po piwo. Odległość między campingiem a piwem wynosi około 500 metrów.

## Scenka 8:
## Nie zrywać

Z ciężkim plecakiem wypełnionym nie tym, co lubię, tylko tym, co udało mi się dostać w sklepiku w Stuposianach, podchodzę nieznakowaną ścieżką z Dwernika na Trohaniec. Od czasu do czasu ścieżka ginie, odnajduję ją z coraz większym trudem. W końcu ginie na dobre, więc na grań idę wprost przez las. Przedzieram się przez pokrzywy i maliny, nos wypełnia mi znajomy zapach butwiejącego lasu bukowego. Wszystko wskazuje, że będzie lało. To znaczy, że mapa nie kłamie, jestem w Bieszczadach.

Gdy już cały mokry zbliżam się do Chatki Socjologów, widzę na drzewie duży plakat *Ćwiczenia na orientację* z dopiskiem *Prosimy nie zrywać.*

A więc i w tym nieatrakcyjnym widokowo Otrycie wre zwykła ludzka działalność: jedni starają się zorientować, inni im w tym bezinteresownie przeszkadzają.

## Konkluzja:
## O człowieku syfilizowanym i jego syfilizacji

Około roku 1950 na dzikie Mazury ruszyli studenci. Około roku 1960 dołaczyli harcerze. Od roku 1970 Mazury są już w pełni usyfilizowane.

Około roku 1965 studenci ruszyli w dzikie Bieszczady. Około roku 1975 zaczęły powstawać bazy harcerskie. Od roku 1985 syfilizację terenu można uznać za dokonaną.

Około roku 1995 studenci zaczęli odwiedzać dzikie góry Ukrainy: Bieszczady Wschodnie, Czornohorę, Svidovec, Horhany. Pytanie: jak długo jeszcze góry te będą syfilizacyjnie zapóźnione?